

Wydawca: *Władysław Gajda*
Miejscowość: *Lwów*

№ Numer 4. №



MAŁPIE *** ZWIERCIADŁO

Tygodnik społeczny i literacki.

♦ TREŚĆ ♦

- Nowe młode twórczości dziennikarskie
- Głosy kulturalne
- O akronimie symbolicznym (Obozy popularny)
- Kto to? (Sewerki dziennikarzy twórcy w skrócie)
- Z dziedzińca mody dla kobiet (Z kolumny reporterskiej)
- Notatki z tygodnia
- Odpowiedzi wydawcy



Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę rano

Lwów 22. lutego 1903.

Cena egzemplarza 10 ct.

Prenumerata wraz z przesyłką wynosi kwartalnie 1 zł. 30 ct., miesięcznie 45 ct.

<http://rcin.org.pl>

Adres redakcji i drukarni: Lwów, ul. Piłkarska 18.

Małpie

Zwierciadło

Tygodnik społeczny i literacki.

Nowe łajdactwo w dziennikarstwie.

Nie każdemu może wiadomo, że założenie najmniejszego nawet wydawnictwa pociąga za sobą wielkie koszty, do których wyrównania potrzeba bardzo wielkiej poczytności pisma i okazałych dochodów z części inseratowej. Widzimy na przykładach, że pisma tak poczytne jak *Słowo Polskie* walczą ciągle z niedoborem a nawet zaprowadzone w ostatnim czasie ograniczenie przyjmowania artykułów płatnych z poza redakcyi nie ratuje jeszcze fatalnej sytuacji finansowej.

Cóż dopiero mówić o pisemku, które powstaje pomimo, że jest już takich kilka, a kilkadziesiąt z tego rodzaju, ale o wiele lepszych, już dawno zakończyło żywot pozostawiając po sobie krótką pamięć i wielkie długi. Nowo powstałe pisemko (weźmy dla przykładu: humorystyczne) nie jest w stanie konkurować z innymi pismami, które już mają od szeregu lat prawo obywatelstwa, swoich prenumeratorów i swoje inseraty, a konkurować nie może ani treścią, która musi być lichą, bo nie ma skąd opłacać współpracowników, ani niskością prenumeraty. A »pan redaktor« nowego »pisma« chce przecież być panem redaktorem, bo niezem innym nie jest i być nie umie. Redaktorem jakoś by się było, bo do tego wystarczy sprawić sobie jakieś przyzwoite nożyczki i kupić notes do zapisywania tłumaczonych, czyli kradzionych wiców niemieckich,

ale jakby to »pchać« pismo, kiedy nikt czytać nie chce a papier, druk, (przy ilustrowanych: rysunki i litografia albo klisze), podatek, portorya, administracya itd. pożerają bajeczne sumy. A więc skądby tu wziąć?

I oto nowy sposób, iście łajdacki, obskurny w najwstrętniejszem tego słowa znaczeniu. Oto nie dość, że taki »redaktor« od siedmiu boleści wymusza na kupcach i różnych instytucjach finansowych inseraty najpodlejszą groźbą »osmarowania«, gdyby mu nie dano inseratu do jego »organu«, ale jeszcze dalej idzie taki wyskrobek dziennikarski, bo zachęcony powodzeniem w wymuszaniu pieniędzy za inseraty a więc przynajmniej za coś, ucieka się do wymuszania pieniędzy za nic. W jaki to się dzieje sposób? Proszę posłuchać.

»Pan redaktor« dowiaduje się, że ktoś gdzieś kiedyś w nieczysty sposób zarobił lub zarabia pieniądze, że ktoś uprawia wielką lichwę, że ktoś ukradł lub zdefraudował większą sumę pieniężną i że taki »ktoś« nie mający czystego sumienia dotąd nie siedzi pod kluczem w brygidkach, ale owszem uprawia dalej swój »fach«. W gruncie rzeczy nie byłoby to może bardzo podłem, gdyby taki pan redaktor rąbnął wprost artykuł o takim faktorze asenterunkowym lub złodzieju a uczynił to w imię dobra publicznego choć np. redaktor pisma »humorystycznego« powinien uprawiać raczej szubieniczną humorystykę a nie tropienie zbrodniarzy, czem zajmują się osobne pisma. Ale taki »pan redaktor« nie pisze artykułów, on artykuły kradnie a co ma oryginalnego — to groźba. I oto pisze sobie taki »pan redaktor« np. w »odpowiedziach od redakcyi« do jakiegoś pana X. Y. w Z. »Dziękujemy serdecznie za tyle kawałków o znanym lichwiarzu (tu wymienia upatrzone nazwisko). Wkrótce zebierzemy cały materyał i ogłosimy w naszych łamach. Będzie on miał! Niech się ma na ostrożności!« — Wydrukował taką odpowiedź i — czeka. Czeką, ażeby wymieniony lichwiarz... miał się na ostrożności. Zazwyczaj wymienia więcej osób upatrzonych po różnych miastach. Rzecz prosta, że taki lichwiarz czy faktor asenterunkowy o nieczystem sumieniu dostaje taki egzemplarz pisma, co zresztą nie jest koniecznem, bo i tak zwrócą mu uwagę na »grożące« niebezpieczeństwo wywleczenia »całego materyału«, który się tam w redakcyi tymczasem »zbiera«... Ktoby się tam narażał *einem Redacteur*, który gotów naprawdę rozba-

brać cały »interes« bo pewnie jakiś konkurent doniósł mu już o wszystkim. Jedzie więc taki »nieczysty« do Łwowa a po drodze myśli nad tem, jakby tu »dostać się« do »nieprzy-
stępnego« zapewne »redaktora« i »podepchać« jakiś »Schweiggeld«. Wszyscy się domyślacie, że wyprawa nieczystego do czystego redaktora powiodła się po krótkim targu doskonale i »nieczysty« wrócił »rozgrzeszony« do swoich zajęć codzien-
nych.

Ale bywa czasami, że taki wylapany »zbrodniarz« nie zrozumiał, czy nie chciał zrozumieć owej »korespondencyi od redakcyi« i nie przybył do »redaktora« prosić o rozgrzeszenie. Ano to pan redaktor strzela drugi raz: Pan X. Y. w Z. »Już nadszedł nowy materyał na znane indywiduum tamtejsze (wymienia nazwisko) i w jednym z najbliższych numerów zajmiemy się tym panem na dobre«. Gdyby i to nie pomogło, to »pan redaktor« jest na tyle wyrozumiały, że czeka jeszcze tydzień lub dwa, bo prawdą a Bogiem to żadnego materyału nie ma a tylko chciałby... subwencye,.. A publiczność czytająca te wszystkie »korespondencye« czeka, czeka, czeka na wywleczenie nowego zbrodniarza i doczekać się go nie może, bo szlachetny »redaktor« zamilkł o jednym, drugim dziesiątym zbrodniarzu i ich »sprawkach« raz na zawsze. Wszystkich rozgrzeszył i »upomina« nowych.

Rzuciliśmy szkic. Nazwisk ni tytułów gazet jeszcze nie podajemy. Chodzi nam o zwrócenie uwagi na fakt, który jest arcywstępnym i w bezkrytycznych oczach czytającej publiczności musi się wydawać plamą dla całego dziennikarstwa naszego. Powinny to podnieść wszystkie bez wyjątku dzienniki a i pan prokurator mógłby się nad tem poważnie zastanowić.

Gdyby zaś tego rodzaju podły manewr nie ustał w czasie jak najkrótszym, to z całą bezwzględnością napiętnujemy to rajfurstwo dziennikarskie, ale już wtedy z wymienieniem faktów, dat, nazwisk »redaktorów« i tytułów ich czasopiśmideł.

My do t r z y m a m y s ł o w a .



Glossy teatralne.

i słówko o recenzentach.

(₁O) Z powodu sprawozdania naszego o »Dyktatorze« Żuławskiego, w którym mimochodem mieliśmy wątpliwą przyjemność, zaprzątnąć chwilową uwagę czytelnika teatralną recenzją lwowskiego »Przeglądu«, otrzymaliśmy otwartą kartkę korespondencyjną, podpisaną inicjałami nieznanego nam osobiście autora, której nieco kabalistyczną treść z opuszczeniem kilku bardziej płaskich conceptów, na jakie się niefortunny korespondent widocznie w braku dowcipu lepszej sorty zdobył, na tem miejscu przytaczamy :

»Szanowna Redakcyo !

Z całego serca cieszę się, że Szanowną Redakcyę wziął na kawał swoim ustępem w recenzji z »Dyktatora«. Panu (₂O) winszuję dobrego nosa — bez ironii. »Już sama taka rekomendacya...« Naturalnie! O to przecież chodziło! Każdemu trzeba robić przyjemność wedle jego fasonu. Na przyszłość jednak radzę być ostrożniejszym, lepiej czytać między liniami i nie prowadzić walki z czyimś tam drewnianym pałaszem.

Z uszanowaniem.«

Nie mając zamiaru rachunki, w tem piśmie poruszone, cichaczem załatwiać, nie chcemy »gratulantowi dobrego nosa« z Przeglądu pozostać dłużnymi odpowiedzi tem więcej, iż zdaniem naszym swój nos wtyka niepotrzebnie w rzeczy nie-swoje.

Stwierdzamy tedy, po pierwsze, z przyjemnością, że sprawozdawca teatralny Przeglądu, czy nim jest pan L. M; W. M; czy K. J. poza oficjalnymi, publicznymi swymi występami w łamach swego pisma, w swych prywatnych, na swój własny użytek poglądach, pokryjому podziela zapatrywania nasze na wartość »Dyktatora«. Cieszy nas to bajecznie; jakkolwiek nie chcemy bynajmniej przez to powiedzieć, aby to dla nas w czemkolwiek było zaszczytne. I owszem; przeciwnie. Nie możemy jednak nie wyrazić przy tem swego zdziwienia, że tenże recenzent zdając sprawę z Dyktatora, o którym się bez wszelkich zastrzeżeń z pochwałami wyrażał, miał zamiar właśnie redakcyę »Małpiego Zwierciadła« wziąć na kawał. Czyżby istotnie? O! zbytek łaski, uprzejmy panie! Mamy

przecież aż nadto materiału do satyry, gdy panowie zupełnie na serio, bez złośliwego zamiaru brania kogokolwiek na kawał, koncypujecie swoje duby smalone. Po cóż jeszcze popisywać się niemi tendencyjnie? Wiemy przecież aż nadto dobrze, że przychodzi to panom z nadzwyczajną łatwością. Jesteśmy nawet gotowi wyznaczyć nagrodę, jeżeli panowie wysilicie się na »wzięcie nas na kawał« czemś raz przecie rozumem. W glossach o »Dyktatorze« zaznaczyliśmy, że pochwalna rekomendacya Przeglądu skompromitowała autora. W przytoczonej kartce recenzent przyznaje, że właśnie mu o to chodziło, aby go skompromitować przez to, iż on go właśnie w sposób sobie właściwy chwali. Wnosząc z tej pośredniej autokrytyki o wartości, jaką sprawozdawca Przeglądu sam do swych recenzji przywiązuje, życzę polskiej sztuce dramatycznej, aby nie miała nigdy sposobności przez niego być chwaloną.

Za radę czytania między wierszami szczerze dziękuję. Sądzę jednakże, że odnośnie do sprawozdań teatralnych Przeglądu byłaby to próżna fatyga. Metoda pisania między wierszami jest nielada i delikatnego pióra sztuką. Kto przedewszystkiem nie ma czem wypełniać wierszy, ten i w międzyliniach żadnych nie zatai mądrości. Pocóżbym więc szukał próżni na pustyni?

Nie mieliśmy i nie mamy nadal zamiaru aż walczyć z panami. Byłaby to walka z wiatrakami, mielącymi plewę. Oszczędzamy się na grubsze ryby i pokażniejsze kąski. Nie łudziliśmy się też nigdy co do Waścinego uzbrojenia. Wiemy, że to nietylko nie pałasz, i nie drewniane berło krytyki nawet, ale pospolita chochla. — O! bożku krytyków, drewniany chochole. Nie chcemy więc przelewać krwi. Panowie co najwyżej śmiechu warci... Więc śmiejemy się. Nie żałujcież nam tej odrobiny przyjemności; nie psujcież nam na przyszłość humoru korespondentkami.

* * *

Swoją drogą rozczulającą jest przecie ta szczerłość, z jaką lwowski recenzent przyznaje otwarcie, że nie zwykł wypowiadać swoich sądów wedle najlepszej swjej wiedzy i woli, ale kieruje się w tem względami ubocznymi, choćby tak zmyślonej natury, jak zamiar wzięcia redakcyi »Małpiego Zwierciadła«

na kawał. Jądro rzeczy leży w tem, iż rzecz jakąś chwając lub łając, dopuszcza się po prostu oszustwa. I ta właśnie zasadnicza kwestya zniewoliła nas do ściślejszego obrachunku z napastliwą korespondentką recenzenta Przeglądu. W gruncie rzeczy słusność leży po jej stronie. Wszakże jest to zgoła obojętną rzeczą, czy lwowski recenzent co zgani, czy pochwali. I tak się z jego sądem nikt nie liczy. Nie mają oni przecie miru ni powagi ani u autorów, ani u publiczności. Sami przed sobą nie mają szacunku. Jest to dla nich zgoła przypadkową kwestyą, jak wypadnie sąd ich o jakiej sztuce. O jednym z nich opowiadają nawet, że na guzikach od kamizelki zwyczajnie oblicza, czy ma być recenzya przychylną, czy potępiającą. Parzyste oznacza pochwałę, nieparzyste naganę. W tym celu ma cały skład kamizelek w domu, a na każdą premierę w inną się odziewa. Całą swą wiedzę krytyczną zaczerpnął z tej biblioteki kamizelek. A jeśli inni z małymi wyjątkami powodują się innymi kryteriami, są one w każdym razie do tych kamizelkowych wielce zbliżone. Przecież taki np. pan — nazwijmy go — Inicyałowski, tromtadrata z odcieniem patryotycznym i nałogowy moralista, nie ma właściwie sam pojęcia o tem, na podstawie jakich kwalifikacyj, zdolności i wiedzy stał się krytykiem teatralnym. Nie ma też wyobrażenia o tem, jak się sztukę ocenia, jak się na nią patrzy, jak się o niej pisze. Siedzi taki pan w teatrze jak na tureckiem kazaniu, zasadniczo niczego nie rozumie, jest rozpaczliwie bezradny, nie umie się po prostu wziąć do rzeczy. Stąd dziwolągi, jakie potem w formie recenzji teatralnych na świat wychodzą są dla historii dziennikarstwa lwowskiego typowe i klasyczne. Pod znakiem ogólnika, komunau, wstępów przemycia się swą erudycyę, celując niemowlęcą naiwnością. W szczegóły i konkretne przykłady taki recenzent nigdy się nie wdaje; nazwiska nigdy nie przytoczy. Za to walczy z kierunkami i prądami, które istnieją tylko w jego wyobraźni; uważa się za bohatera, potępiając coś, co sam sobie ad hoc wymyśla i emfatycznie broni dobra i piękna w sztuce, którym przecie nikt nie zagraża, choć byłby w kłopotcie, gdyby go ktoś zainterpelował, czy on w ogóle coś przez to rozumie.

Oto n. p. bajecznie typowy wstęp (bo wstęp za wszelką cenę musi być; o tem pamięta się z dyspozycyi zadań gimnazjalnych) o Sznitzlerze.

»Dawno już przed Sznitzlerem i przed najnowszą szkołą dramaturgów, wiedzieli o tem badacze duszy ludzkiej, że bywają, (to »bywają« jest paradne) w życiu godziny, w których na jaw wychodzą wszystkie na dnie duszy ukryte namiętności.« Rozpoczynając takim akordem recenzję, symuluje niezgrabnie »krytyk«, że przedewszystkiem do dna przestudjował »najnowszą szkołę dramaturgów«, że wogóle ją zna i że cokolwiek wie o niej. Czytelnik bowiem jest przekonany, że taka szkoła z pewnością istnieje, że Sznitzler na pewno do niej należy. Któżby bowiem śmiał podejrzewać, że wszystko to jest pustym wymysłem, skoro o tem z taką apodyktyczną pewnością siebie drukuje gazeta? Coby zresztą mógł recenzent we wstępie umieścić, gdyby pod ręką nie miał blagi o starych i nowych »szkołach«? Tak więc symuluje dalej, że oprócz nowej szkoły dramaturgów zgłębił naturalnie i starą nie tylko sztukę, ale całą filozofię badaczy duszy ludzkiej, po to tylko, aby się dowiedzieć, że bywają w życiu godziny, w których człowiek jest namiętny. Że to ma źródło na »dnie« duszy o tem się już dowiedział z pewnością z poetyckiego albumu *Illustracyi*. Otóż na podstawie tych badań filozoficznych poucza dalej p. recenzent, że w takich chwilach, które »bywają« w życiu jest jednostka choćby »bezwiednie zdolną do spełnienia zbrodni, występku lub przekroczenia«. (Okropność! vide codzienne notatki policyjne) »że dalej po takiej godzinie zwykły« (to »zwykły« jest paradne) »u niezepsutego z gruntu osobnika występować żal, skrucha i opamiętanie, słowem zwycięstwo dobrego pierwiastka nad złym.«

Po tej psychologicznej bajeczce dla dzieci zmyśla typowy recenzent, że »takie momenty zwycięskiej moralności, o ile je umiano wyzyskać, służyły za podkład utworów dramaturgom (?) starej szkoły, którzy woleli na widok publiczny wystawiać raczej człowiecze przymioty, niż wady«. Udaje zatem, że przestudjował także starą szkołę dramaturgów, że w ogóle ją zna i że cokolwiek wie o niej, że rozumie się dalej na artystycznym »wyzyskiwaniu momentów« choć sobie z tego sprawy nie zdaje, gdyż sądzi, że tylko wtedy służy coś za podkład utworu, skoro je się umie wyzyskać. Skoro nie, to już nie służy za podkład.

Wreszcie wyobraża sobie w swej bujnej fantazyi woźnego sądowego, że sztuka wystawia na widok publiczny człowiecze »przymioty i wady« (jakby wady były przeciwstawieniem przymiotów) tak, jakby

to się uczyniło na tandecie z wynoszoną kauizelką uczoności lwowskiego recenzenta.

Wedle utartej dyspozycji po tym wstępie następuje atak na „nowe kierunki“. „Zmieniły się czasy i obyczaje, zmienił się odpowiednio do nich kierunek scenicznego piśmiennictwa i oto z optymizmu wpadliśmy w skrajny pesymizm i spowiadamy się publicznie ze szkarad życiowych“. Byłbym przysiągł, że wsiądziemy na konika pesymizmu. — Wszystko się zmienia panie recenzencie, ale „sancta simplicitas“ jest nieśmiertelna. Ciekawość tylko, w jakiej literaturze dramatycznej znalazła ona ten błogosławiony optymizm, z którego niepotrzebnie wpadliśmy w gorszące błoto pesymizmu. Przypomina mi to tego starostę czeskiego, który przed kilku dniami zakazał odegrania „Potęgi ciemnoty“ Tolstoja (nie pana recenzenta) z tego powodu, że pesymizm tej sztuki zagraża porządkowi społecznemu. Optymistyczna ciemnota pana recenzenta, jak dotąd policyjnie nie jest zakazana. Pan recenzent powątpiewa dalej o losach Europy, dlatego, że „gdyby należało sądzić społeczność dzisiejszą ze sceny, okazałoby się, że dzieli się ona na łotrów, z jednej strony, a niedołów i idjotów z drugiej“. Pociesza się atoli tem, że taka klasyfikacya ludzkości ma do pewnego stopnia racyę. Idąc dalej za tokiem tych głębokich myśli, musielibyśmy zginąć samobójczą śmiercią z rozpaczy nad dolą wszechludzkości, gdybyśmy z kolei rzeczy przeprowadzili „może do pewnego stopnia“ uzasadnioną klasyfikacyę jej na podstawie teatralnych sprawozdań lwowskich recenzentów.

Po ogólnym ataku na kiepskie czasy i nieurodzaj następuje już specjalny atak w stronę dyrekcji lwowskiego teatru, która jakoby ze szczególnem zamiłowaniem protegowała odpowiednio do zbakierowanego gustu publiczności sztuki, przedstawiające ujemne strony życia«. Tą kłamliwą napaścią na lwowski teatr, jako na norę modernistycznych spiskowców, z istotnym stanem repertoaru sprzeczną a uporczywie przez rozmaitego gatunku Janowiczów powtarzaną, kończą się ogólne uwagi krytyczne p. recenzenta o jednoaktówkach Sznitzlera. Poczem następuje już streszczenie kolejne poszczególnych utworów, z których czytelnik się przekonuje, że cały ten ogólny, charakterystyczny ustęp recenzji do konkretnego wypadku nie da się ani przyszyć, ani przyłatać, i że nie znajduje w nim żadnego konkretnego argumentu na poparcie. Pokazuje się tedy, że dany recenzent ani w ząb nie zrozumiał kwestyi psychologicznych przez Sznitzlera podjętych, nie pojął ich ujęcia artystycznego, nie połapał się w stanowisku myślowem autora i niczego na ten konkretny temat nie umiejąc powiedzieć puścił się na łatwe zrzędzenie i marudzenia z powodu niezdrowych kierunków, aby wzbudzić illuzyę, że i on jest, panie tego, nie od parady, że i on coś, panie

tego wie, że i on coś, panie tego liźnął, z literatury dramatycznej.

Pokrewnemi uwagami o sztuce zapelnia od czasu do czasu swe tygodniowe kroniki p. Bartoszewicz, który znów w ten popularny sposób ratuje się przed ostatecznem wyschnięciem swego dowcipu. Ubolewa on, że strącono z piedestału stare formy i kierunki a nowych nie wydoskonalono. Lamentuje, że kierunek pesymistyczno-zmysłowy (czort wie, co to połączenie oznacza) i pornograficzno-cyniczny oświadczył się, a alfą i omegą treści dzisiejszych utworów scenicznych, jest posiadanie kobiety lub mężczyzny poza ołtarzem. (ma być widośnie poza małżeństwem, gdyż »posiadanie poza ołtarzem« jest nonsensem, co tu ołtarz ma do posiadania) Płacze, że teatr współczesny szerzy kult brzydoty i kształci dzikie zmysłowe, o zgrozo, instynkta, że w utworach współczesnych nie ma nic prócz cynizmu, wyuzdanej zmysłowości i objawów obłądzenia zmysłowego. Te efektowne obelgi rzuca się naturalnie bez jednego mizernego przykładziku na dowód ich słuszności. Byłby przecie taki sztangast od Havelki w nie-małym kłopotcie, gdyby mu kazano przytoczyć jedną sztukę z t. zw. modernistycznego repertoaru, o którejby się to wszystko dało powiedzieć i udowodnić. Omija się zatem skrupulatnie wszelkie konkretne nazwiska, tytuły i utwory, aby się nie zblamować i choćby dlatego tylko, że ma się w ogóle o tem bardzo szczupły zasób wiadomości. Nie przeszkadza to jednak nigdy Inicyałowskiemu, czy Bartoszewiczowi potępiać coś ogólnikowo i ryczałtem. Na terenie bowiem komunau są oni niepodzielnymi panami i tryumfatorami.

A jeżeli p. Bartoszewicz przy tem ma na składzie i ten notoryczny komunau »że niezmiernie trudną rzeczą jest napisać dobrą poważną krytykę sztuki a nie łatwiejszego, jak napisać kilkanaście banalnych frazesów w formie sprawozdania« to powinien przecie pamiętać i o tem, że nie tylko recenzijkę ale tem więcej i ogólne uwagi o sztuce dramatycznej i współczesnych prądach wymagają w każdym razie znajomości rzeczy a nie śniadańkowych rozmówek i że nawet napisać dobrą poważną kronikę tygodniową, jest w dzisiejszych czasach a zwłaszcza dla p. Bartoszewicza rzeczą niezmiernie uciążliwą. Ut exempla docent. Pan Inicyałowski i p. Bartoszewicz przedstawiają u nas typ znawców sztuki dramatycznej z gatunku

Śniadańkiewiczów. Ponieważ gatunek ten nadaje ton powszechny, rej wodzi i rządzi się jak szara gęś, poświęciłem mu dzielsze glossy teatralne.

Korespondencyjna kartka przeglądowego recenzenta winna temu.

* * *

Z czterech jednoaktówek Sznitzlera, przedstawionych ubiegłego tygodnia w lwowskim teatrze a osnutych na stosunku sztuki do życia i naodwrot, dwie pierwsze pt. Godziny życia i Kobieta ze sztyletem, rażą niesłychanie naiwnem i grubym ujęciem teoretycznym tej kwestyi a banalnem jej rozwiązaniem psychologicznem. Co za tem idzie nie wytrzymują one też krytyki pod względem artystycznym. W ogóle już samo przeciwstawienie sztuki i życia, jako wartości odrębnych, od siebie niezależnych świadczy o niezbyt szerokich horyzontach myślowych Sznitzlera. O tem wiedzieliśmy, co prawda, i z dawniejszych jego utworów. Ta jest jednak różnica na niekorzyść dwóch wymienionych jednoaktówek, że w innych utworach Sznitzler, świadomy zakresu swego talentu, nie silił się na rozwiązanie problematów, do których nie dorósł; tu zaś starał się o pozory głębokości, w istocie potykając się co chwila o mieliznę. Antyteza sztuki i życia da się w rzeczywistości pomyśleć tylko jako zagadnienie wyrozumowane i teoretyczne. W rzeczywistości ona nie istnieje a już zgola mowa o niej być nie może tam, gdzie ludzie na prawdę umieją żyć i na prawdę tworzyć. Antagonizm zatem sztuki i życia, jakoby kategorii wykluczających się wzajem co najwyżej istnieje chyba u ludzi życiowo martwych, twórczo jałowych. Dla twórców kwestya ta nigdy piekącą nie była i nie jest; a dla tych, których ona obchodzi, nie może być piekącą. Dla nich bowiem żadna kwestya piekącą nie jest — prócz chyba kwestyi ich późnej ambicyi literackiej. Popełnił zatem Sznitzler gruby błąd logiczny kwestę niedoszytych, pół i ćwierćliteratów uogólniając w kwestyę sztuki zasadniczą. Między istotnem życiem, a istotną sztuką nie ma przedziału. Twórczość jest tu elementarnym faktem życiowym i namiętą potrzebą płomiennej duszy; życie przesiąknięte jest na wskrós pierwiastkiem ideowej artystycznej natury. Poezya i działalność życiowa składa się tu na pełną, bujną indywidualność ludzką. Skoro zatem Sznitzler w dwóch swych pierwszych jednoaktówkach

całkiem poważnie i na seryo, staje jakoby raz w Godzinach życia, po stronie życia przeciw sztuce, drugi raz niby po stronie wielkiej sztuki przeciw doczesności życia, nikt mu przecie na słowo nie uwierzy, gdyż wie, że rozwiązanie takie jest przedewszystkiem połowiczne i jednostronne, a powtóre rozwiązuje tylko kwestyę tematu w sztuce tj. materiału z którego ta sztuka czerpie. Kwestyę zaś tematu ujmuje Sznitzler ze stanowiska ludzi, którzy chodzą po świecie z notatnikiem i szkicownikiem w rękę w poszukiwaniu za motywami dla swej sztuki. Jest to przecież stanowisko próżni duchowej, która nie ma nic do powiedzenia. Żadna wielka sztuka nie gmyrze po kątach za tematami; żaden szczery twórca nie bierze życia po literacku. Pali się cały życiem od stóp do głów, wstrząsa się elementarnie do szpiku kości. Że potem coś z osobistych doświadczeń jako »Dichtung und Wahrheit« przedostanie się do sztuki, jest to już koniecznością natury ludzkiej. Ale idea ożywiająca dzieło, idea twórcza i życiowa zarazem z tematem z życia zaczerpniętym nie ma nic wspólnego. Stąd zarzut zasadniczy sztuce postawiony, jakoby była pasożytem życia, samolubnie na niem się tuczyła traktowała życie indferentnie jako temat artystycznie biorąc, przez literaturę, nie dotyka sztuki w ogóle, a dotknąć może niektóre bardzo ciasne i wązkie osobistości, jałowe i w gruncie rzeczy bezpłodne. Jeżeli zatem Sznitzler kwestyę tego stosunku sztuki do życia jako tematu do sztuki ujmuje teoretycznie i zasadniczo, pudłuje; zastosować się to da tylko do indywidualnych wypadków i to przeważnie tylko satyrycznie. Stąd wysilek etycznego rozwiązania problemu w Godzinach życia z płaczkliwym, sentymentalno pogrzebowym nastrojem jest bezowocnym, bezprzedmiotowym i zawodzi; »Kobieta ze sztyletem« z teatralno-maszynowym aparatem wizyi, ze stanowiska psychologicznego idjotycznej, ze stanowiska palinogenetycznej idei sztubackiej, zdradza całą fastrygę warsztatu rozumowania autorskiego i mechaniczną konstrukcyą teorytycznego pomysłu i założenia kompromituje się. »Ostatnie maski« i »Literatura« o tyle są głębsze i o tyle też istotną wartość posiadają, o ile są kształtowaniem kompozycyjnym życia a nie przykładową ilustracyą owego fatalnego problemu sztuki i życia. Gdzie tylko zatem w tych dwóch sztukach autorowi wymknął się znowu ten problem na wierzch, o ile

znów teoretycznie dotyka kwestyi dopuszczalności czerpania motywów literackich z życia, lub zestawia i porównuje sztukę i życie odważając wzajemną ich wartość lub wyższość, o tyle w oczach poezyi i estetyki blamuje się.

»Ostatnie maski«, zadziwiają zato majsterstwem psychologicznem, z jakim autor uwydatnił gasnące porywy schyłkowych chwil przedśmiertnych, tej zmieszanej żądzy życia z nienawiścią do żyjących, tego poczucia się zupełnie obcym wobec interesów i kwestyi życia, tego konwulsyjnego czepiania się żdźbła ostatniej słomki nadziei.

Sznitzler jak wiadomo jest specjalistą takiej przedśmiertnej psychologii i tego stosunku ludzi umierających czy umarłych do ludzi żywych i pozostałych. W nowelach zajmował się tem kilkakrotnie i widocznie rzecz tę konsekwentnie obmyślał. Subtelności rezultatów nie można mu odmówić.

W bluetce pt. »Literatura« odzyskał szampański humor Anatola. Jest to rzecz bez pretensyi silnie pointonowana w tempie swawolnego allegra. Nie jest nawet pozbawiona podkładu satyrycznego na pewne aktualne zwłaszcza w niemieckiej literaturze wybryki nieartystycznych artystów. Kwestyę stosunku życia i sztuki pokazuje zresztą z innej strony: o ile całkiem trywialną rzeczywistość osobistych przeżyć, połowiczny kretyn upiększa, stylizuje, stroi w fantastyczny ornament. Jest to już zagadnienie głębsze nałogowej poetyczności w współczesnej literaturze wiszące w powietrzu.



o akcencie symbolicznym.

Odczyt popularny

Tulliusa Jennera.

(W wyciągach.)

Symbolizm nie jest wynalazkiem nowej sztuki. Jest on równie starym, jak mowa ludzka i głupota ludzka. Do wydobycia najbardziej wewnętrznej treści słowa przyczynia się sposób jego dźwiękowego odtwarzania, a więc akcent. Akcent użyty jako środek artystyczny może być nazwany »symbolicznym«, jeśli za pomocą niego zdołamy w duszy słuchacza wywołać wyobrażenie przedmiotu pewnym wyrazem określonego.

Pozwólcie szan. słuchacze, że wam na przykładach wytłumaczę powyższe określenie. Odczytam wam »Dzwony« Staffa, gdzie każde niemal słowo wali ciężkim żelaznym młotem w skroń naszą... (Poruszenie w audytorium — panie zaczynają opuszczać salę.) Albo, gdybyśmy wzięli wiersz Tetmajera: »Na Anioł Pański«. I tu pełno muzyki i jakieś chóry dzwonów. Zaczyna dzwon średni »a — a«, wtóruje mu ciemniejszy »o — a«, wpada jasny wysokostrojny »i — i« odbijając od ciężkiego towarzysza »a — o«. (Dosłownie!) I tak na każdym utworze poetycznym możemy się przekonać o tym symbolicznym akcencie. Np. w poemacie Ujejskiego: »Marsz pogrzebowy Chopina« przypominamy sobie grzebek lub ementarz a w poemacie Przyjaciela »Przygody p. Balsambauma czy Kiezałesa« przychodzi nam na myśl ulica Karola Ludwika (w niedzielę o 12 w południe), albo który z poważniejszych banków. Dlatego w nieznanym jeszcze, ale już dawno drukowanym poemacie epicznym pt. »Brygidki« tak często spotykamy zgłoski »łap«, »krrr«, »trrr«, »chap«, »zmykł«, »puść« a w natchnionych i dla dzieci przeznaczonych wierszach Bełzy tak często spotykamy »k.... k.... k....«

Kto to?

(Sylwetki dziennikarzy lwowskich. *)

II.

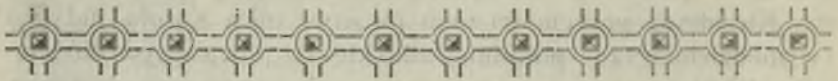
Małeńki, ruchliwy, nerwowy, a przytem bardzo sympatyczny. Tylko nie dla kobiet. Twarz, o ile możności zupełny kontrast Apollina, drobna, i szczupła, skrzywiona i — koloru nie umiałbym określić — ale w chwilach ożywionej dyskusyi wpada w pas...

Bardzo ciekawa osobka prawie pod każdym względem. Pasyami lubi dzwonić na własnych zębach seyzorykiem, lub czemś innem, byle twardem, przyczem niemożliwie kurezy twarz, i najeża bródkę w szpic. W dyskusyi kawiarnianej na dowolny temat, najchętniej o sztuce, zapala się do 100° Celsiusa przyczem wymachując rączkami gotów uśmiercić połowę otoczenia. Dotychczas jednak nie zamordował jeszcze nikogo pomimo bardzo niedwuznacznych zamachów na wartość twórczości scenicznej pani Zapolskiej, ale owszem, jest wcale nieszkodliwym osobnikiem i wcale sympatycznym kolegą w sztambajzlu. Ku wielkiemu zdumieniu otoczenia pytającego: „gdzie to wszystko się w nim mieści“, spija całe morza „czarnej“ (dawniej w „Boulevard“), dziś w „Kryształówce“ gdzie zarazem dość często pisze swoje „rzeczy“ do drugiej, trzeciej w nocy.

A pisze o wszystkim. Sprawozdania teatralne, sprawozdania z salonu sztuki i wystawy obrazów, artykuły polityczne i społeczne, sprawozdania ze sali sądowej przyczem najczęściej jest chodzącym §. 19. ust. pras., bo o ile możności protestuje to, co ktoś gdzieś kiedyś o czemś powiedział lub napisał.

Dawniej pracował przy „Monitorze“, dziś jest w „Kurjerze“, w którym odpowiada za wszystkich, a nie ręczy za nikogo.

Talent oryginalny i wcale pokąźny, choć może nie tyle wszechstronny, jak materyał, do którego się zabiera. Ale zabiera się do wszystkiego a nawet próbował się już kiedyś i w poezyi, przy której pomocy chciał wydrukować w „Życiu“ znany aforyzm, że, „to, co się kryje pod suknią materyalną, jest dla oka ludzkiego rzeczą niewidzialną“. Redakcyja wydrukowała ten aforyzm jako *curiosum* w odpowiedziach od redakcyi i na szczęście autora — zda się raz — na zawsze odwołał go od „rzeczy niewidzialnych“ w poezyi.



Notatki z tygodnia.

Mianowania i przeniesienia. Wiedeński korespondent „Słowa p.“ telegramem z daty 17. bm. przeniósł namiestnika hr. L. Pinińskiego w stan spoczynku a na jego miejsce powołał p. Dawida Abrahamowicza i hr. Wodzickiego.

Wiadomości osobiste. Dawid Abrahamowicz i hr. Wodzicki otrzymali osobiste gratulacye od p. A. Nowickiego, korespond. „Słowa pol.“ z okazji powołania ich na fotel namiestnikowski. Ponieważ żaden z nich nie był ciekaw spytać dobrze poinformowanego korespondenta, komu właściwie należą się gratulacye, przeto przypuszczać wolno, że odtąd w Galicyi będzie dwóch namiestników. Jeszcze inni twierdzą, że namiestnik Piniński nie myśli ustąpić, w obec czego może łatwo przyjsić w Galicyi do rządów tryumwiratu.

Odczyty, jakie się w tym tygodniu nie odbędą: Ostap Ortwin (w Związku literackim) „O wysokiej inteligencyi naszych recenzentów i wartości ich recenzyj“.

II. P. Tadeusz Pawlikowski: „Gdzie źródło tegorocznego sukcesu finansowego w teatrze“?

III. Dr. Felicya Nossig: „Odsłonięcie rąbka istotnej wartości“.

IV. P. Studniński. „Jaka jest moja właściwa wartość“?

V. P. Androniewicz: „Czy ja coś doprawdy rozumiem o sztuce“?

Sprawa honorowa w parlamencie. (Telegram.) Prezydent izby Vetter obraził posłów Pastora i Głabińskiego rzuciwszy im w nos protokół. Obrażeni posłowie zażądali wyjaśnienia. Prezydent wezwał ich, by przyszli do jego kancelaryi. Obrażeni posłowie udali się do kancelaryi prezydenta i przeprosili go.

Pech nad pechami ma prof. Głabiński, który, jak to donosiliśmy w ostatnim numerze — poróżnił się ze znakomitym uczonym p. Studnickim i stracił z kretesem jego przychyłność. A oto fatalne skutki: P. Studnicki, który przedtem może myślał inaczej, w ostatnim czasie, dzięki temu nieporozumieniu w *comp.*, zdecydował się nieodwołalnie nie dopuścić prof. Głabińskiego do teki ministerjalnej. W 82. numerze „Słowa Polskiego“ z dnia 19. bm. pisze pan Studnicki bez zająknięcia: „Otwarcie powiem, że wolałbym, żeby ugodę z Austryą w sprawie usamodzielnienia Galicyi przeprowadził kraj z ministrem obcym, niż Polakiem, nawet jeżeliby tym Polakiem był prof. Głabiński“.

Złość p. Studnickiego a raczej jego tajemna, podziemna intryga dochodzi do zenitu pod koniec tegoż ciętego artykułu, kiedy to z zagrożeniem całości państwowej woła lekko myślnie: „Pocóż więc mamy przedłużać żywot parlamentu aż do udziału ministra rodaka w rządzie!“

Konkurs. Dowiadujemy się, że Stanisław Wyspiański zaraz po wykończeniu najnowszego swego dramatu „Wyzwolenie“ wyznaczył jako premię 3 tomy sienkiewiczowskich Krzyżaków za największy nonsens, jaki w ciągu roku o „Wyzwoleniu“ okaże się w druku. Jak dotychczas największe szanse na tę wspaniałą nagrodę ma profesor Chmielowski.

Szowinizm czy zapomnienie. Otrzymaliśmy w tym tygodniu kilka listów z zapytaniem (jeden nawet ze zdumieniem), jak tak słynny erudyta literatury wszechświatowej i fonograf Młodej Polski p. Juliusz Tenner mógł zapomnieć, czy wprost z szowinizmu pominąć, w swojej konferencyi o dzwonach tak wybitne utwory odnoszące się do omawianego tematu, jakimi są „Dzwon“ Szylera, „Dzwon“ Hauptmana, „Dzwony z Corneville“ i tysiąc innych dzwonów literatury wszechświata, którą przecie szan. prelegent zna tak gruntownie.

Z karnawału. Tylko przez pośpiech dziennikarski zapomnieliśmy podać do wiadomości naszych czytelników, że na balu prasy odegrano umyślnie czy na złość przez p. Czelańskiego skomponowany polones p. t. „Na cześć prasy“ a na balu podlotków odtworzono nie mniej zajmujący utwór muzyczny znanego i powszechnie cenionego kompozytora p. Rolla p. t. „E... e... e.“

Wiec narodowy. Na zaproszenie prezesa wiceowego komitetu wykonawczego, p. Tad. Romanowicza, odbyło się zeszłej niedzieli w jednej ze sal ratuszowych posiedzenie przewodniczących sekcyjnych i kilku członków komitetu we Lwowie zamieszkałych. Celem tego zgromadzenia było wzajemne poinformowanie się sekcyj o dotychczasowym stanie ich robót — i przekonano się, że dotychczas właściwie nie nie zrobiono.

Aforyzmy.

Ludzie się starzeją, ale ich głupota jest wiecznie młoda i ciągle nowe wydaje owoce. (sol.)

Tłumaczenia są jak kobiety: jeśli piękne, to niewierne, jeśli wierne, to pewnie nie piękne. (Nowaczyński.)

Wszystkie dzienniki, o których dziś dla braku miejsca nie wspominaliśmy, przepraszamy bardzo za to zaniedbanie nie pochodzące z naszej winy.

Z Wiedaia telegrafują nam: Wyszło już nareszcie na jaw, skąd właściwie wiedeński korespondent „Słowa Polskiego“ ma najpierwsze wiadomości polityczne. Oto zawdzięcza je ściślejszej znajomości z bardzo gadatliwą pokojówką dra Körbera. Na codziennej randce omawia z nią najzawilsze kwestye polityczne dowiadując się przy tej sposobności o najtajniejszych zamysłach dra Körbera, który w dodatku mówi bardzo często ze snu. Informacye te są pierwszej wagi, bo jak wiadomo nikt t k wiernie nie reprodukuje nowin jak kobieta. To też słusznie długie listy jego mają tak „olbrzymi“ wpływ na ilość wierszy drukowanych, licząc od wiersza po 3 ct. Kobieta już nieraz w dziejach spowodowała nieszczęście, dziś pokojówka premiera dr. Körbera może zadecydować o losach Austrii. Przedwczoraj toczył się między korespondentem a pokojówką następujący djalog: (przekład polski)

„Servus Kathi, co robi stary?“

„A cukierki obiecano gdzie, ty, ty...“

„Masz tu cukierki, ale gadaj co robi stary?“

„Oj, teraz, źle robi, bo jakoś ma kurcze...“

„Kurcze?! Świetnie!! Pewnie obstrukeya! A co dalej? Gadaj!“

„Ano nie, ino przedwczoraj ze snu bełkotał takie słowa: koło polskie, osły, obstrukeya, ustawa prasowa, Mitzi, kiepskie wino przedłożenie wojskowe...“

„Czekaj, czekaj, świetnie, niechno, zanotuję... dalej!“

„Już nie dalej, tylko jeszcze słyszałam coś o Galicyi, czy o namiestniku...“

„Aha! Pewnie zleci! Gut, panie... to było przedwczoraj a wczoraj, wczoraj w nocy, co gadał wczoraj...“

„A, ... wczoraj? Wczoraj gadał przez całą noc, ale nie gębą... więc nie zrozumiałałam...“

„Ale ja i to rozumiem“ — zakonkludował korespondent i uściśnawszy złotodajną Kathi pobiegł do domu, ażeby czempredziej wysłać jakiś interwiew z mężami stanu. Ale losy Austrii są poważnie zagrożone, jak długo Körber nie przestanie mówić przed pokojówką przynajmniej ze snu!

Odpowiedzi wydawcy.

W. Panu D. Nie dla nas.

W. Pani Br. G Ad. 1 „Pana Tadeusza“ nie napisał ani Wyspiański ani Przybyszewski, a więc zakładu nie wygrała ani szan. Pani, ani Jej przyjaciółka.

Ad. 2.) Z modernistycznej literatury zalecamy szan. Paniom: Prawidła pisowni polskiej, Marya i Wanda, czyli Znakomity kucharz krakowski i Poradnik dla tańczących Kaczorowskiego.

W. Pani Aurelia A. Śliczny wierszyk: „Była sobie myszka mała, co dwóch samców wraz kochała“... Radzimy puścić kota do zalotnej myszki a wierszyk posłać do „Ilustracyi polskiej“.

Krassolowi. Nie morduj pan swojej lutni, jeśli chcesz być zbawion.

W. Panu J. W. redaktorowi w S. Serdecznie dziękuję za zamieszczenie.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor EMERYK KISS.

Drukarnia artystyczna St. Kossowskięgo, Lwów

P.
324

KRYTYKA

miesięcznik poświęcony
sprawom społecznym, nauce
i sztuce

wychodzi w Krakowie

*Prenumerata wynosi
kwartalnie 3 kor.*

*Pojedynczy zeszyt
1 kor. 20 hal.*

Redakcyja i Administracyja
ul. Nad Rudawą 17.